

Adolf Boczkowski

Źródło: rękopis autora 1987 r.

Korekta: Tomasz Czajkowski, październik 2008 r.

A jaka jest twoja narodowość?



Adolf Boczkowski urodził się 11.01.1934 r. w Grabowcu. Przed wybuchem II wojny światowej zdążył ukończyć pierwszą klasę z siedmioklasowej wówczas szkoły podstawowej. Dalszą naukę kontynuował dopiero po roku 1945.

W latach 1952-1955 uczęszczał do Technikum Przemysłu Skórzanego w Chełmku. Po ukończeniu tej szkoły, podjął pracę w WSK Świdnik. Tam też poznał swoją późniejszą żonę, Kazimierę Gruszkę. Ślub odbył się w grudniu 1957 roku.

Wspomnienia Adolf Boczkowski pisał w tajemnicy przed rodziną, dlatego też nie jest znana dokładna data rozpoczęcia ich spisywania. Pierwszy raz podzielił się swym dziełem na początku lat 90. ze swoją żoną, później zaś ze swymi dziećmi.

Adolf Boczkowski zmarł po wielu latach choroby dnia 12.06.2000 r., został pochowany na cmentarzu w Kazimierzówce pod Świdnikiem.

Opr. Gabriela Śpiewak

Będą to moje wspomnienia z lat okupacji hitlerowskiej, czyli lat pacyfikacji Zamojszczyzny.

Spotkał mnie los podobny do losu wielu innych dzieci Zamojszczyzny, a nawet niekiedy gorszy, ponieważ przyszło mi kilkakrotnie zaglądać śmierci w oczy. Był rok 1942, a więc trzeci rok okupacji hitlerowskiej. W mojej miejscowości rozszalał się terror. Mieszkałem wraz z rodzicami w dość dużej osadzie Grabowiec należącej do byłego powiatu hrubieszowskiego. Wywodzę się z rodziny chłopskiej, jako jedynak byłem przysłowiowym „oczkiem w głowie” moich rodziców. Urodziłem się 11.01.1934 r., a pierwsze lata mojej edukacji szkolnej przypadały na lata okupacji.



W 1941 r. zacząłem uczęszczać do miejscowej szkoły powszechnej i zdołałem jedynie ukończyć pierwszą klasę, na tym moja nauka została przerwana. Nowy rok szkolny nie rozpoczął się, ponieważ szkołę zamknięto, a w budynku szkolnym Niemcy urządzili sobie magazyny zbożowe. Nauczycieli aresztowano, którzy już nigdy nie powrócili, powrócili tylko ci którym udało się zbiec w porę. W tym okresie zamordowano również wielu innych znaczących ludzi. Obecnie na pamiątkę tamtych ponurych dni w kościele parafialnym wmurowana jest tablica, która ciągle przypomina o mroku okupacji.

W mojej osadzie wprowadzono tzw. porządek niemiecki, co oznaczało ucisk i terror. Na pierwszy „ogień” poszli miejscowi Żydzi. Na początku zarządzono, że mają obowiązek nosić na rękawach gwiazdy Dawida, terroryzowano ich, bito wyrywano brody pogardzając nimi w myśl propagandy hitlerowskiej.

Pewnego dnia postanowiono rozwiązać tzw. kwestię żydowską. Rozwiązanie tej kwestii wyglądało w ten sposób, że część Żydów spędzono na pobliskie łąki gdzie następnie ich rozstrzelano, resztę zaś wywieziono do obozu w Bełżcu i tam ich także wymordowano, natomiast Synagogę i ich drewniane zabudowania spalono. Na drugi plan wzięto Polaków, młodzież wywożono na roboty do Niemiec, a na rolników nakładano tzw. kontyngent zbożowy, mięsny a nawet zarządzono oddawanie kozuchów, bo armia niemiecka jak wiadomo odmrażała sobie pod Stalingradem uszy, nosy, palce i całą resztę.

Pewnej nocy lotnictwo radzieckie powiadomiło nas za pomocą ulotek, że niemiecka Szósta Armia skrzyła sobie kark pod Stalingradem, dostając się do niewoli wraz z generałem Paulusem. W tym okresie terror nasilał się, zaczęto wysiedlać ludność sąsiedniej gminy. Wysiedlano Skierbieszów, Hajowniki, Czeszyn, Udrycze, Sitaniec i inne miejscowości. Do ludności Grabowca dotarła ponura wiadomość, że w niedługim czasie przyjdzie kolej i na nas. Należy tu zaznaczyć, że Grabowiec zamieszkiwała w dużym procencie ludność ukraińska, która przeszła na współpracę z Niemcami i z niej w późniejszym czasie rekrutowali się członkowie band UPA.

Pewnego zimowego poranka wyszedł ojciec z domu zrobić obrządek w naszym obejściu i powrócił niebawem, mówiąc do matki, że dziś jest wysiedlenie Grabowca. Od Niemców zaroilo się i po pewnym czasie przyszedł do nas znajomy Ukrainiec z Niemcem oświadczając, że dziś jest wysiedlenie i że daje ojcu 20 minut czasu na stawienie się na rynku z furmanką i swoją rodziną

oświadczając przy tym, że każda osoba ma prawo zabrać ze sobą 15 kg obojętnie czego. Niemiec poświadczył to swoim autorytetem mówiąc „ja ja sznel!” Ojciec szykował furmankę do wyjazdu, a matka szykowała suchy prowiant. Zabraliśmy ze sobą będący zapas chleba i słoniny, bielizna już wcześniej była spakowana, ponieważ spodziewaliśmy się wysiedlenia. Jadąc na rynek wiedzieliśmy, że jedziemy na jakąś wielką tułaczkę a przed nami była wielka niewiadoma. Ojciec rozmawiając z matką był przekonany, że kiedyś jednak tu powrócimy, ale nikomu nawet nie śniło się, co nas czeka i jaką cenę przyjdzie nam zapłacić za naszą polskość.

Na rynku było już dużo ludzi, Niemcy rozkazywali ustawiać się furmankami wg kolejności. Na furmankach siedzieli sami znajomi Polacy, którzy nie chcieli podpisać folkslisty, ci którzy podpisali pozostali na miejscu, byli też i tacy, którzy zapisali się na Ukraińców, ci też pozostali. Po pewnym czasie ta posepna karawana ruszyła w asyście uzbrojonych Niemców, po obu jej stronach pieszo szli Niemcy pilnując ażeby nikt nie ważył się uciec. Do Zamościa było około 33 km. Niemcy mieli pracowity dzień, bo musieli 12 km brnąć po błocie, a dalej to już była szosa ceglana. W pewnym momencie podszedł do naszej furmanki Niemiec z eskorty i ku naszemu zaskoczeniu mówiąc po polsku zwrócił się uprzejmie do ojca, prosząc czy mógłby położyć na furmance swój plecak. Oczywiście ojciec nie śmiał odmówić takiemu uprzejmemu „turyście”. Po pewnym czasie marszu ten Niemiec podszedł do nas, rozejrzał się czy inni Niemcy na nas nie patrzą, zaczął mówić, że na to co się tu dzieje nie może patrzeć bo odchodząc z domu był przekonany, że idzie walczyć za ojczyznę. Matka zapytała go gdzie się tak dobrze nauczył mówić po polsku, a on odpowiedział, że przed wojną chodził do polskiej szkoły na Śląsku i że pochodzi z rodziny mieszanej niemiecko-polskiej. Podczas tej rozmowy Niemiec otworzył swój plecak i dał mi kawałek kurzego mięsa zachęcając do jedzenia, ale nie mogłem tego mięsa przełknąć i schowałem go do swojego worka. Plecak ten jechał aż do samego Zamościa. Krótki zimowy dzień chylił się ku końcowi, unosiły się kłęby pary ze zmęczonych koni, ludzie również już byli zmęczeni, a Niemcy jak gończe psy z językami na brodzie ledwie dyszeli. Dojeżdżaliśmy już do Zamościa, pierwszy raz w życiu zobaczyłem tyle świecących się świateł, bo w Grabowcu w owym czasie jeszcze nie było prądu elektrycznego, a oświetlenie mieszkań odbywało się za pomocą lamp naftowych.

ZAMOŚĆ czyli „Himlertsztat”

Pomimo tych świecących się świateł, Zamość wyglądał posepnie, po chodnikach chodzili Niemcy spoglądając na nas złowrogo, a po jezdni przejeżdżały niemieckie samochody. Dojeżdżaliśmy już w pobliże Starego Miasta, ujrzałem piękny dumnie stojący Ratusz, ale i on był jakby smutny, ponieważ jego renesansowe piękno szpeciły flagi ze swastykami wetknięte w jego

górne okna. Dlaczego „Himlertsztat”? Ponieważ miasto to szczególnie przypadło najeźdźcom do gustu. Niemcy zamierzali Zamość wraz z przyległymi urodzajnymi ziemią włączyć do Rzeszy i zasiedlić je w przyszłości rdzennymi Niemcami. Na tą cześć miasto nazwano „Himlertsztat”, tu miano zrealizować niemiecką ekspansję na ziemiach wschodnich. Dlatego tą perłę Renesansu lub Padwę Północy nazwano tak szpetną nazwą. Minęliśmy już Ratusz i w niedalekiej odległości ujrzelśmy szeroko rozwarte wrota obozu przejściowego, a hałaśliwi Niemcy popędzali nas okrzykami sznel, sznel!

Przed nami rozpostarł się szeroki plac, wokół którego drzemały drewniane baraki. Do każdego baraku prowadziła oddzielna brama zapleciona kolczastym drutem. Wszystkie te baraki ogrodzone były podwójnym szpalerem również z kolczastego drutu, a po środku leżały skłębione jego zwoje. Od wewnętrznej strony zasieków była pewna przestrzeń, na której rozmieszczono wieże strzeleckie, a wszystko to w nocy było dokładnie oświetlone. Na placu czekała na nas już inna grupa Niemców z pejcami i drewnianymi pałkami w ręku. Jeden z nich o krępej budowie ciała z pejcem w ręku wrzasnął łamaną polszczyzną „Macie tu zostawić kunie, a sami wchodzić do tego lager!”

Po przeciwnej stronie placu stał długi barak, a właściwie kilka baraków połączonych ze sobą przejściami. Wchodząc do zatłoczonego baraku jeszcze nie wiedzieliśmy kto do nas tak szpetnie przemawiał. Później wszyscy poznali go bardzo dobrze, był to sam komendant obozu, którego więźniowie nazywali „Ne”. Nazywano go tak dlatego, że codziennie musiał kogoś sobie pejcem zakończonym ołowiem wysmagać. Przy biciu swej ofiary pieniać się wykrzykiwał „tak, czy ne!”. Później miałem nieprzyjemność dostać od niego tym pejcem po plecach, ale o tym wspomnę później. W zatłoczonym baraku wypadło rodzicom stać przez całą noc na korytarzu, tylko mnie udało się sięść na swoim worku. Na następny dzień rano od godziny 800 rozpoczęła swoją pracę tzw. komisja. Wymęczeni ludzie przepychali się między sobą, bo ktoś wychodził do ustępu, to znowu ktoś zemdłał i wynoszono go na powietrze. Powoli w baraku robiło się coraz luźniej, bo coraz otwierały się drzwi i rozkazywano wychodzić kolejno całymi rodzinami. Na drugim końcu baraku rozległy się jakieś krzyki, dowiedzieliśmy się, że Niemcy odłączają dzieci od rodziców, a kto nie chce oddać dziecka to go potwornie biją.

W moich wspomnieniach bazuję tylko na własnych przeżyciach nawiązując tylko do sytuacji ogólnej, jaka wówczas panowała. Wreszcie przyszła i na nas kolej, weszliśmy do obszernego pokoju gdzie po kątach stali hitlerowcy z pałkami w ręku, z podwiniętymi rękawami, a po środku pracowało kilku lekarzy. Rodzicom nakazano rozebrać się do połowy, a mnie stanąć na boku. Po zakończeniu badań rozkazano rodzicom ubrać się, zabrano wyniki badań i wszyscy poszliśmy do następnego pokoju, tam natomiast pracowali tzw. pisarze, którzy spisywali personalia tzn. imiona, nazwiska, imiona rodziców ojca i matki oraz narodowość. Po zakończeniu tego ankietowania jeden

z Niemców wziął świeżo sporządzone dokumenty wraz z opinią lekarską i wprowadził nas do następnego pokoju.

W momencie kiedy wchodziliśmy obejrzałem wstrząsającą scenę, oprawcy stali również z pałkami w rękach, a niektórzy z nich mieli pistolety. Jeden z Niemców odbierał dziecko od piersi jakiejś kobiecie. Matka ta płacząc nie chciała oddać swojego dziecka, hitlerowiec zdenerwowany strzelił kobiecie w piersi, a jej mąż jakby rzucił się na ratunek, pozostali hitlerowcy skoczyli do niego i zaczęli okładać go pałkami po głowie. Natomiast ten, który strzelił do kobiety, chwycił dziecko za nogi i z całą mocą uderzył nim o ścianę. Z roztrzaskanej główki dziecka połała się krew. Pozostali hitlerowcy również nie próżnowali, bili mężczyznę aż nie dawał żadnych oznak życia, krew obficie spływała mu uszami, nosem i ustami. Wreszcie uznali, że ma dość, bo ci zbójce dobrze znali się na tym. Otworzyli drzwi, dziecko wyrzucili, a mężczyznę chwycili za nogi i wywlekli na zewnątrz, to samo zrobiono również z kobietą. Wśród tych Niemców było dwóch w białych kitlach, którzy nie brali udziału w biciu, ubrani byli w oficerskie mundury, a na czapkach mieli trupie główki.

Jeden z tych oficerów rozkazał zrobić tu porządek, zawołano z dworu dwóch więźniów z wiadrami wody i ścierkami, podłogę i ścianę umyto z krwi i moczu. Wszystko lśniło czystością. Następnie jeden ze wspomnianych oficerów podszedł do mnie i dobrotliwie powiedział „patrz na mnie”. Spojrzałem na niego ze strachem, a on spokojnie powiedział „nie bój się”. Rozkazano mi stanąć na środku pokoju i obaj zaczęli dokonywać jakichś pomiarów, interesowały ich moje oczy oraz dokładnie dokonywano mi pomiarów głowy. Po zakończeniu pomiarów zaczęto doszukiwać się we mnie cech nordyckich. Pozostali oprawcy spokojnie stali po kątach. Wreszcie jeden z oceniających zwrócił się do matki z pytaniem, czy w jej rodzinie nie było jakiegoś pokrewieństwa z Niemcami, matka odpowiedziała, że nie. Następnie zaczęli o to samo wypytywać ojca, ale i ojciec odpowiedział, że nie, Niemiec podniesionym głosem zaczął mówić, że „wasi przodkowie byli Niemcami”. Po tej rozmowie obaj Niemcy naradzali się półgłosem po polsku, usłyszałem jak jeden z nich powiedział, „on już kończy 9 lat, będzie pamiętać”, a drugi na to „oni dzieci wychowują w ciemności”. Zdziwiłem się, że Niemcy rozmawiają ze sobą po polsku, tylko ze swoimi ofiarami rozmawiają po niemiecku. Sądzę, że po tej naradzie poddano mnie ostatecznemu egzaminowi.

Zapytano kiedy się urodziłem, trochę zająknąłem się, ale odpowiedziałem, następnie wypytywano o nazwisko, imię i o imiona rodziców oraz skąd pochodzę. Na wszystkie te pytania odpowiedziałem, wreszcie zadano mi najważniejsze pytanie „a jaka jest twoja narodowość?” Odpowiedziałem, że polska i to przesądziło o wszystkim. Jeden z Niemców wykrzywił twarz i spojrzał na drugiego, a ten jakby ze współczuciem powiedział „ile tej nordyckiej krwi poleje się w tej wojnie”. Decyzja zapadła, że pójdę do lagru 10-tego, a rodzice do 14-tego. Trzeba wyjaśnić,

że tu dokonywano kradzieży polskich dzieci odpowiadających im rasowo, które następnie wywożono do Rzeszy i oddawano je na wychowanie rodzicom niemieckim w celu ich germanizacji. Oczywiście poddawano te dzieci uprzednio szczegółowym badaniom lekarskim. Matka zaczęła płakać i ja również, w tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł barakowy, który wziął mnie za rękę i odprowadził do długiego lagru.

Brama od lagru 10-tego w tym dniu była otwarta, tylko po placu chodzili uzbrojeni Niemcy w hełmach na głowach i bronią gotową do strzału. Rodziców zapędzono do lagru 14-tego. Z lagru tego wywożono na przymusowe roboty do Niemiec, natomiast z 10-tego wywożono dzieci, starców i ludzi chorych na zagładę do innych obozów, a z braku miejsca do województwa warszawskiego, o czym napiszę później. Wchodząc do lagru ujrzałem przed sobą długi korytarz, po obu jego stronach mieściły się tzw. sale. Przyprawiono mnie do pierwszej sali przy drzwiach, stały tam prycze piętrowe zbite z desek, a na nich siedziało i leżało dużo dzieci, wskazano mi miejsce pod ścianą na dole. Rozejrzałem się po tym pomieszczeniu, deski stanowiące ścianę były mało szczelne, a w szparach było coś w rodzaju uszczelniacza, spojrzałem dokładniej, a to były żywe pluskwy. Chłopiec, który leżał obok mnie często pojękiwał, odwrócony był do mnie plecami. Nade mną płakało jakieś dziecko, głód mi już dokuczał bardzo, wyjąłem z worka to mięso które dostałem od Niemca z mieszanej rodziny, odgryzłem kawałek chleba z całego bochenka i to mi już wystarczyło do następnego dnia.

Trzeba wspomnieć, że po przyjeździe do obozu zetknęliśmy się z tymi którzy już od dawna tam byli. Noc w lagrze była koszmarna, zresztą jak wszystkie inne noce. Dziecko leżące nade mną zsiusiało się i zaczęło mi kapać na twarz, więc głowę przesunąłem trochę na bok. Sąsiad mój był bardzo gorący, jęcząc trząsł się, aż nad ranem uspokoił się. Rano barakowi zawiadamiali nas głośnymi okrzykami, wstawać – śniadanie! Na korytarzu zrobiło się gwarno, tłum dzieci i trochę starców stanął wokół dużej kadzi zwanej „bakiem”, z której wydawano zupę. Zupę tą wlewano łyżką wazową zwaną „chochłą” każdemu do kubka około pół litra i do tego dodawano małą kromkę chleba. W tym momencie z lagru 14-tego przybiegały matki lub ojcowie do swoich dzieci na krótko, bo tam również wydawano śniadanie a bramy były otwarte. Prawie jednocześnie pojawiali się noszowi z noszami, rozlegał się donośny płacz rodziców, ponieważ wiele dzieci nie dożyło rana, a noszowi zabierali ich ciała do kostnicy. Okazało się, że z mojej sali wyniesiono około dziesięcioro zmarłych dzieci, sąsiad mój również zmarł.

Po śniadaniu wolno było wyjść na plac na tzw. spacer. Dziwny to był spacer, dzieci spotykały się tam z rodzicami, a w tłum wpadali żandarmi i dziko bili kogo popadło. Gestapowiec „Ne” w tym dniu ulokował się przed bramą 10-tki krzycząc „Kuniec spaceru”. Dzieci szybko ruszyły do bramy, a on je lał pejczem jak popadło. Widok ten przeraził mnie, zacząłem uciekać w przeciwną

stronę aż wpadłem do 7-go lagru. W lagrze tym byli sami mężczyźni, ponieważ był to lager dla więźniów politycznych. Jeden z więźniów widząc mnie powiedział: „Dziecko uciekaj stąd, bo jak cię tu złapią to cię zabiją!” Wypadłem z powrotem na plac jak oszalały, ale przed bramą 10-tki „Ne” dopadł jakiegoś chłopca około 12-lat i strasznie go bił pejczem wrzeszcząc przy tym „Tak czy ne”. Usta gestapowca były spienione jak u wściekłego zwierzęcia. Krew oblała chłopcu głowę, chłopiec przewrócił się, a „Ne” stanął mu nogą na szyję i dusił go.

Jeśli chodzi o mnie to wykombinowałem sobie, że po cichu przebiegnę mu poza plecami i tak też zrobiłem. W momencie kiedy przebiegałem gestapowiec gwałtownym ruchem strzelił mnie pejczem po plecach krzycząc „halt, halt!”, ale jak przestraszone zwierze wpadłem do lagru i zginąłem w tłumie. Jak okazało się później to komendant niechętnie przychodził do 10-tki na rozrywkę ponieważ obawiał się zakaźnych chorób, chyba że był należycie pijany. Na obiad tego dnia też była zupa, a na kolację kawa zbożowa, gorzka której można było brać bez ograniczenia, oprócz kawy dostaliśmy po kromce chleba i po łyżce stołowej marmolady. Następne dni były podobne, zawsze płacz rodziców i zawsze noszowi. Na miejsce umarłych przyprowadzano nowych, ponieważ wysiedlano coraz to nowe wsie. Jedzenie pogarszało się, bo na śniadanie wydawano skromnie porcyjki chleba, czasem dodatkowo po łyżce marmolady i to musiało nam wystarczyć.

Obiady natomiast były urozmaicane, dostawaliśmy tzw. zupę jarzynową. Zupa ta składała się z grubo pokrojonych ziemniaków oraz jakiejś zieleniny, w której jeszcze pływały nierozgotowane liście, przypominało to brudny staw o zielonym zabarwieniu, w którym kapały się żaby, zupa ta była gorzka z dużą ilością soli. Innym zaś razem wydawano tzw. płatki owsiane, była to mieszanina osypki owsianej z ziemniakami, a po wierzchu obficie pływały plewy, zupy te przeważnie były niedogotowane. Po takim jedzeniu dzieci podostawały biegunki, szczęśliwy był ten kto miał ze sobą jakieś zapasy domowe. Rodzice moi swój prowiant zabrany z domu oddali mnie, bo suchy chleb zawsze można było rozmoczyć w kawie i zjeść. Natomiast w lagrze 14-tym lepiej ich karmiono, bo oni mieli żyć, czekała ich niewolnicza praca w Rzeszy.

Pewnego dnia wypędzono wszystkich na plac z lagru 10-tego, a komendant „Ne” wygłosił coś w rodzaju przemówienia „Nie myślcie sobie, że my Niemcy jesteśmy tacy źli, od dziś dzieci będą dostawać gut jedzenie – dobre, a każdy dostanie ile zechce, a co zostanie to i starzy mogą dostać”. Zaraz po tym oświadczeniu przyniesiono kilka kotłów jakiegoś krupniku na mleku o przyjemnym zapachu. Rzuciła się wygłodniała dzieciarnia, kto zjadł dostawał jeszcze, mówiono „Nie bójcie się, jak zabraknie przyniesiemy jeszcze”. Ja również zjadłem tego krupniku swój kubeczek, a było to bardzo słodkie i mdłe. Po zjedzeniu zrobiło mi się niedobrze, wybiegłem do ustępu i wszystko zwymiotowałem. Ten fakt oceniam, że było to moje szczęście w nieszczęściu. Na drugi dzień rozeszła się wieść, że jedzenie to jest zatrute, rodzice na placu uświadamiali dzieci żeby tego nie

jadły. Jakiś polski lekarz, który był w obozie podszeptał to rodzicom. Po kilku dniach trucizna dała znać o sobie, dzieci dostawały wysokiej gorączki, dreszczy, potwornych bólów głowy i umierały w mękach a noszowi coraz więcej mieli roboty. Pewnego dnia wyniesiono z 10-tki około 40 trupów. W następnych dniach śmierć również zbierała obfite żniwo.

Któregoś dnia będąc na spacerze zobaczyłem jak esesmani bili grupę rodziców i dzieci, którzy chcieli ze sobą porozmawiać. Wystraszony zacząłem uciekać i wpadłem do kostnicy, odór tam był okropny, zobaczyłem wzdęte, zapienione rzędami leżące trupy. Codziennie wywożono je samochodami w pole i tam zakopywano. Ujrawszy przerażający widok szybko opuściłem to miejsce, omijając esesmanów dobiegłem do swojego lagru. Innego dnia z rzędu poszedłem do ustępu, było to po śniadaniu, obiekt ten był zlokalizowany na terenie 10-tki w niedalekiej odległości od lagru. W ustępie panował tłok, bo jak już wspomniałem dużo dzieci dostało biegunki.

Wewnątrz dwoma rzędami rozmieszczone były prostokątne otwory cementowe, całość przedzielona była żerdzią na część męską i żeńską. Przy jednym otworze dzieci zgromadziły się i pokrzykiwały „pływa, pływa!” Jakieś na pół przytomne dziecko z wysoką gorączką wpadło do szamba, próbowaliśmy go wyciągnąć i nagle pojawił się esesman, dzieci rozstały się, a on przytrzymując się żerdzi nogą zaczął cisnąć na głowę aż przestało wypływać i utonęło, następnie esesman splunął i wyszedł. Dzieci w panicznym strachu rozbiegły się do lagru, takie praktyki nie były rzadkością, bo ci którzy wynosili nieczystości z szamba często znajdowali na dnie utopione trupy. I tak powoli dobiegał końca mój pobyt w „Himlertsztacie”.

Niemcy w tym okresie musieli wykonywać skrupulatnie swój zbrodniczy plan, wysiedlano inne miejscowości przygotowując miejsce dla nowych więźniów. W dniu 28.02.1943r. wypędzono wszystkich z dziesiątki na plac, skompletowano tzw. rodziny, do jakichś staruszków przydzielono jakieś dziecko lub więcej dzieci i zarejestrowano ich jako rodzinę. W podobny sposób i mnie dokooptowano do pewnej obcej kobiety z wnuczką i tak sprezentowano mi nową mamę. Następnie rodziny te ustawiono po 40 osób, chyba, że rodzina była większa, to już ją nie rozłączano, te parę osób nie odgrywało roli. Wydano suchy prowiant po jednym bochenku chleba i trzy łyżki marmolady na osobę. Po skompletowaniu całości każdą grupę ustawiono oddzielnie, a wokół jak sępy krążyli hitlerowcy z bronią gotową do strzału. Rodziców z 14-tki w tym dniu nie wypuszczono na plac obawiając się jakiegoś zamieszania. Po pewnym czasie podjechały samochody, były to niewielkiej ładowności półciężarówki.

Pod moją grupę podjechał samochód, przystawiono drewniane schody i kazano nam szybko wchodzić na samochód. Weszło około połowy dzieci, i już zaczęło brakować miejsca. Niemcy założyli łańcuch i za pomocą jakiegoś urządzenia zaczęli ścisnąć robiąc w ten sposób miejsce na

samochodzie. Rozległ się pisk i płacz, ja popchnięty znalazłem się przy kabinie z nosem w szparze burty. Pozostałą resztę upychano bijąc przy tym pejcami po głowach, szczęśliwy był ten kto był niski. Wreszcie zamknięto tylną klapę. Kilku uzbrojonych esesmanów stanęło na specjalnie skonstruowanym pomoście i samochód ruszył. Podróż samochodem nie trwała zbyt długo, bo do dworca kolejowego było blisko. Na torach stał pociąg towarowy z tzw. bydłęcymi wagonami. Samochód cofnął się pod drzwi wagonu, po otwarciu tylnej klapy rozkazano nam wchodzić do wagonu. Po opróżnieniu samochodu okazało się, że kilkoro dzieci było martwych, uduszonych lub zabitych. W wagonie panował tłok, po pewnym czasie doładowano do tego wagonu jeszcze jedną grupę i zrobiło się bardzo ciasno. Załadunek transportu trwał do późnych godzin popołudniowych, wreszcie zaczęto sprawdzać zamknięcia zewnętrzne i wieczorem pociąg ruszył.

Na tułaczce

Konwojenci niemieccy ulokowali się na tylnych pomostach wagonów i tak rozpoczęła się nasza podróż w nieznane. Zmęczeni starcy i dzieci zaczęli słać się na nogach, aż wreszcie jedno przy drugim jakoś usiedli. Na moich nogach ktoś siedział, ja również na czyjejs nodze byłem wsparty, a w wagonie zrobiło się duszno, bo okienka wywietrznikowe były małe. Dzieci wołały z pragnienia wody i płakały, ale takiego luksusu jak woda tam nie było. Pociąg wciąż jechał, pomimo ścisku, pod drzwiami wagonu zrobiono trochę miejsca, bo niektóre dzieci wołały, że chcą kopkę lub siku. Na jakiejś stacji pociąg zatrzymał się, chłopiec mający około 19-lat wysmukły i bardzo błydy ciągle wyglądał przez szparę w drzwiach informując nas, że to stacja Rejowiec i snuł domysły, że chyba jedziemy na Majdanek.

W drodze wyjaśnienia chcę wspomnieć o dzieciach na germanizację. Po tych z kolei przyjeżdżały luksusowo wyposażone pociągi z wagonami sypialnymi, kuchniami, łazienkami oraz z personelem pielęgniarsko-medycznym, ażeby ukradzony Polakom łup przewieźć bezpiecznie do Rzeszy. Szarpnięcie, stuk wagonów i pociąg ponownie zaczął się toczyć, w tym czasie w wagonie panował względny spokój, ponieważ zmęczone i chore dzieci pospały się. Noc ta była jeszcze gorsza od nocy spędzonych w dusznym, zapluskwionym lagrze. Po około godzinnej jeździe nasz pociąg zatrzymał się, tym razem blask światła padał przez szparę drzwiową i okienka wywietrznikowe. Chłopiec powiedział do kogoś, jesteśmy w Lublinie, ale coś nie wypędzają nas, bo na Majdanku nie ma torów kolejowych. I nasz pociąg szarpnął, ale w przeciwną stronę, jechaliśmy w stronę Łukowa, Siedlec aż dojechaliśmy do małej stacyjki Mrozy w pobliżu Mińska Mazowieckiego w woj. warszawskim.

Był wczesny, mglisty poranek. Niemcy zaczęli otwierać drzwi wagonów wykrzykując wysiadać

– „sznel!” Dzieci powychodziły z zaparowanych wagonów, trzęsąc się z zimna, bo na dworze było dość chłodno. Ktoś powiedział, chyba będą strzelać, bo wyładowano nas od strony lasu. Ktoś inny powiedział, patrzcie tam stoją furmanki, chyba gdzieś nas powiozą. W tym czasie Niemcy wyrzucali z wagonów trupy, ponieważ wiele dzieci zmarło na skutek choroby, a inne udusiły się. W niedalekiej odległości za barakami stało wiele jednokonnych furmanek. Furmanom kazano podjeżdżać kolejno, a na każdą furmankę ładowano dzieci ile się zmieściło. Pierwsze furmanki już odjeżdżały, a następne już podjeżdżały i tak sznur furmanek zaczął się toczyć w kierunku miasteczka Kałuszyn.

Przy tym transporcie Niemców już było niewiele, rozpoczęły się więc rozmowy pomiędzy nami, a gospodarzami którzy na wieźli. Dowiedzieli się oni, że przywieziono nas z jakiegoś Zamościa i stwierdzili, że jesteśmy wygnańcami. Konie ciężko pracowały, a koła głęboko wrzynały się w syпки mazowiecki piasek. Siedząc na tej karawanie zjadłem trochę swojego suchego prowiantu, aż wreszcie ukazało się jakieś miasto. Wjechaliśmy na bitą drogę, furmanki przyspieszyły i po pewnej chwili dotarliśmy do Kałuszyna. Podwieziono nas pod jakiś większy murowany budynek, wyglądający jak szkoła i kazano nam wysiadać. Chcę tu zaznaczyć, że inne furmanki pojechały w innych kierunkach, do innych gmin. Ulokowano nas w holu budynku na parę dni. W pokojach budynku mieścił się jakiś urząd, urzędnicy wychodzili z pokoi i wypytywali nas cośmy za jedni i za co nas wypędzono. Nie chcieli pogodzić się z faktem, że jesteśmy grzesznikami bez winy, a dowiedziawszy się, że naszą winą jest jedynie narodowość polska, byli przerażeni. Pobyt nasz w Kałuszynie nie trwał długo, podjechały nowe furmanki i wyruszyliśmy w dalszą podróż i znów od gospodarzy dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Jakubowa.

Po dotarciu na miejsce oczekiwał nas pewien jegomość, ubrany był po cywilnemu w tyrolskim kapeluszu z piórem w asyście kilku Niemców. Przypominał on mi esesmana z Zamościa „Ne” tylko był trochę wyższy i prawdopodobnie pełnił funkcję wójta. Na boku stali zgromadzeni ludzie, którzy po nas przyjechali. Wspomniany wójt był tłumaczem „pana Niemca”. Niemiec zaczął coś butnie wykrzykiwać gestykując przy tym rękami. Następnie głos zabrał wójt, mówiąc do stojących ludzi „Te szczenięta możecie kupować, oni będą wasze, możecie z nimi zrobić co wam się podoba, trzeba im nie żałować roboty, albo możecie zabić jak psa!” Po tym oświadczeniu ustalono cenę, o ile mnie pamięć nie myli po 75 zł. za jedno dziecko i tak rozpoczął się handel żywym towarem.

Starszymi ludźmi nie handlowano, stojący gospodarze zaczęli szukać pieniędzy w swoich kieszeniach, a pieniądze zbierał sam „pan Niemiec”, który dowodził pozostałymi Niemcami. Handel ten dobiegał już końca, wszyscy wykupieni i starcy usadowili się na furmankach, a na placu pozostałem tylko ja jako niewykupiony. W pierwszym momencie wójt zwrócił się do ludzi „To co, kupujecie go czy nie?” Ktoś odpowiedział nie mamy już pieniędzy, wobec tego wójt chwycił mnie

za włosy ciągnąc do pobliskiego dołu gdzie kopano piasek, Niemiec zdjął z ramienia karabin, bo i tu panował niemiecki porządek. Aż nadto dobrze zrozumiałem o co chodzi, zacząłem panicznie płakać, szarpiąc się ugryzłem wójta w rękę, a ten z kolei kopnął mnie wrzeszcząc „Ten szczeniak gryzie!”. W tym momencie Niemiec coś zaczął krzyczeć do wójta, a ten mnie puścił. Prawdopodobnie nawet dla Niemca widok ten był niemiły i poczuł, że trudno mu będzie wykonać takie zadanie, a może sam był ojcem?

Niemiec w dalszym ciągu krzyczał na wójta, aż wreszcie wójt zwrócił się do stojących ludzi: „Wy polskie świnię, złóżcie się wszyscy i wykupcie go, bo pan Niemiec, ani ja żyć mu dawać nie bydziemy!”. Zaczęli się ludzie obmacywać po kieszeniach aż zebrali żadaną sumę, a więc i ja byłem już wykupiony i ocalony od śmierci. Furmanki zaczęły się rozjeżdżać do różnych wsi, a ja zapłakany siedziałem na jednej z nich. Po pewnym czasie zawieziono nas do wsi Szczytnik oddalony od Jakubowa o około 3 km. Jak później dowiedziałem się, ci którzy wywiezieni zostali z okolic Żelichowa i sąsiednich miejscowości, adaptowani byli przez tamtejszą ludność i traktowali je jak własne dzieci. Mnie spotkał diametralnie inny los, skazany byłem na tułaczkę i głód.

Zima 1942 na 1943 roku była łagodna, na Zamojszczyźnie panowała odwilż, a tu na Mazowszu był już suchy piasek, ale noce były mroźne. We wspomnianej wsi umieszczono nas w niewykończonym domu, po jednej jego stronie mieszkał gospodarz ze swoją rodziną. Rodzina ta składała się z czterech osób t.j. gospodarz, jego żona oraz dwoje dzieci, syna i córki. Syn gospodarza był ode mnie trochę starszy, a córka w moim wieku. Połowa domu gdzie mieszkał gospodarz była wykończona, natomiast w naszej połowie były szpary w ścianach, a pod podłogą piwnica. Zbito nam prycze na których zmieściła się rodzina składająca się z matki z dwojgiem dzieci i starych rodziców. Dla mnie i tzw. mojej opiekunki z zamojskich lagrów, miejsca na pryczach zabrakło. Po pewnym czasie zaopatrzone nas w jeden siennik wypchany słomą, który ledwie wystarczył dla dwóch osób. Wspomniana opiekunka zabrała go dla siebie i dla swojej wnuczki, ja natomiast pozostałem bez niczego, z miejscem do spania pod progiem. W piwnicy znajdowało się trochę ziemniaków, które sołtys zebrał od swojej wiejskiej społeczności dla wygnańców. Na początku żywiliśmy się ziemniakami, których wkrótce zabrakło, a głód zajrzał nam w oczy.

Najgorsze były dla mnie noce, ponieważ spałem pod progiem na niewielkiej ilości słomy, którą dostałem od gospodarza. Spałem w ubraniu, ponieważ nie miałem żadnego przykrycia, zdejmowałem tylko buty i czapkę. Często wstawałem rano ze szronem na włosach, a palce u nóg miałem spuchnięte i sine od mrozu. Zaziębłem się, miałem ciągle katar i bóle głowy. Czas upływał, a głód coraz bardziej dokuczał, zacząłem chodzić po wsi prosząc o jedzenie. Czasem dostałem coś do jedzenia, niekiedy kawałek chleba, ale moja tzw. babcia była kobietą bez sumienia i dokładnie

ograbiała mnie ze wszystkiego co przyniosłem. Coraz mniej miałem szczęścia w dostawaniu jałmużny, niektórzy zamykali przede mną drzwi ze względu na mój odrażający widok. Odrośli mi długie włosy, miałem brudne wymięte ubranie, po którym łążyły wszy. Ktoś doradził mi ażebym chodził po jedzenie do Jakubowi, bo tam przy kościele parafialnym uruchomiona jest kuchnia dla wygnańców. Skorzystałem z rady i zacząłem codziennie uczęszczać do tej kuchni, przychodziła tam dość spora grupka starych osób, ale ja i dwoje trzęsących się staruszków byliśmy tam stałymi bywalcami. W kuchni tej raz na dobę dostawałem swój półlitrowy kubek zupy i niewielką kromkę chleba. Czas upływał, a mnie coraz bardziej opuszczały siły.

Pewnego dnia wracając z Jakubowa przygrzało mocniej wiosenne słońce, poczułem się bardzo zmęczony, pot oblał mi ciało i postanowiłem więc trochę odpocząć. Usiadłem na zimnym piasku, posiedziałem trochę, a następnie chciałem wstać, okazało się że nie było to takie proste. Przy wstawaniu nogi zaczęły i drgać i przewróciłem się. W tym momencie dotarło do mojej świadomości, że opadłem z sił, więc posiedziałem jeszcze trochę i zacząłem ponownie wstawać, podniosłem się jednocześnie na rękach i nogach przy, maksymalnym wysiłku wstałem. Przed oczyma zobaczyłem całe roje migocących gwiazd. Postąłem przez chwilę aż wreszcie rozwidniło mi się w oczach i pomału zacząłem iść dalej.

Pewnego dnia przyszedł do moich gospodarzy ksiądz miejscowej parafii i o czymś długo rozmawiali, wreszcie zawołano mnie. Ksiądz wypytywał czy w moich stronach nie ma kogoś kto by mógł się mną zaopiekować. Odpowiedziałem mu, że mam ciotkę z babką na innej wsi, które są również wysiedlone i przymusowo pracują w majątku jako robotnice. Po chwili zastanowienia się ksiądz odpowiedział zakłopotany, „Widzisz dziecko, trzeba ażebyś pojechał tam, bo tam będziesz mieć więcej zrozumienia wśród swoich.”. Oznajmił mi również, że ktoś tu przyjedzie po tych innych ludzi i przy okazji i mnie zabierze, dodając przy tym, że da mi na podróż pieniądze. Z perspektywy lat oceniam czyn tego księdza jako czy patrioty, któremu rzeczywiście zależało na losie swoich bliźnich, zresztą takich przykładów w naszej okupacyjnej historii jest więcej. Później dowiedziałem się, że ksiądz ten napisał list do znajomych mojej tzw. opiekunki z wnuczką prosząc ich o zabranie nas stąd. Chcę wyjaśnić, że wsie oddalone od traktów leżące na uboczu nie były wysiedlane i tam dużo ludzi znalazło schronienie.

Po upływie około tygodnia przyjechała pewna kobieta w celu zabrania swoich krewnych – ja również skorzystałem z tej okazji. Razem zabraliśmy się do Mińska Mazowieckiego, a dalej do Warszawy. Kobieta ta nie chcąc ryzykować pozostawiła mnie na poczekalni, a sama gdzieś zniknęła. Ktoś z pasażerów doradził mi ażebym ukrył się za drzwiami, bo bardzo rzucam się w oczy. Posłuchałem dobrej rady i tak zrobiłem, ale nurtowała mnie myśl, że muszę dowiedzieć, o której godzinie mam wyjechać i z jakiego peronu. Wszystko to napawało mnie lękiem, wprawdzie

na zegarze znałem się, bo jeszcze w domu ojciec mnie tego nauczył, a z czytaniem jakoś szło. Po jednej literze odczytałem, że to jest Warszawa, ale co dalej? Postanowiłem kogoś zapytać, zobaczyłem jakiegoś maszynistę w czerwonej czapce idącego sprężystym krokiem, ten nie wzbudzał we mnie zaufania, a może to Niemiec.

Przez szparę drzwiową zauważyłem innego człowieka wprawdzie w jakimś mundurze, ale ten nie wydawał mi się groźny. Zdecydowałem się jego zapytać o drogę do domu, podszedłem do niego i nieskładnie zacząłem mówić o co mi chodzi, bagażowy również kazał mi się ukryć i obiecał, że zaraz wróci. Po paru minutach wrócił właśnie z tym dyżurnym ruchem, do którego nie miałem zaufania. Ten z kolei wypytał mnie o wszystko co go interesowało i kazał bagażowemu wykupić mi bilet na podróż. Przekazałem temu człowiekowi wszystkie swoje pieniądze, a ten po chwili wrócił z biletem informując mnie, o której godzinie będzie pociąg i z jakiego peronu odjedzie, nadmieniając, że przyjdzie po mnie przed odjazdem. Czasu miałem dość dużo, bo około czterech godzin, a nieznanne miasto wzbudzało we mnie ciekawość. Z dziecinną naiwnością postanowiłem trochę popatrzeć na Warszawę, wyszedłem przed drzwi i stanąłem przed dworcem, bardzo mi się tam podobało. Jakieś pojazdy jechały po szynach, a następnie zawracały, to jakiś komin bardzo wysoki dymił, a po chodniku szło bardzo dużo ludzi. Widok ten oszołomił mnie, ponieważ nigdy w życiu nie widziałem tramwajów, ani kominów fabrycznych. Postanowiłem więc i ja przejść się tym chodnikiem. Po oddaleniu się od dworca kilkanaście metrów utwierdziwszy się w przekonaniu, że z powrotem trafię, ponieważ dworzec był dobrze widoczny. Po przejściu około 300 m. zobaczyłem murowany dom, którego żelazne schody usytuowane były na zewnątrz. W chwili kiedy zbliżyłem się do tego domu, otworzyły się drzwi, a na schodach ukazał się esesman z dużym wilczurem. Wygląd Niemca zdradzał, że jest on pijany, twarz miał rozpromienioną i zataczał się. Niemiec zobaczył mnie, głośno krzyknął „halt!” Zatrzymałem się, a on zaczął szczuć mnie psem. Pies rzucił się na mnie, chwycił za tobołek, ściągnął go z pleców i zaczął w nim wrywać dziurę. Przy powtórnych skoku tobołek ten podstawiłem psu naprzeciw pyska. Zwierze wyraźnie potraktowało to jako zabawę, przez wydartą dziurę urwał kawałek rękawa od koszuli i zaczął się nim bawić. Esesman miał również świetną zabawę, bo ze śmiechu chwycił się za brzuch i usiadł na schodach, widząc, że pies mnie nie atakuje zaczął wrzeszczeć na niego posyłając go w moją stronę.

Przechodnie zaczęli dużym łukiem omijać to miejsce, patrząc z przerażeniem. Natomiast ja dalej zasłaniałem się workiem płacząc, w pewnej chwili nadeszła jakaś starsza kobieta. Była to osoba tęga w czarnej sukni i z opuszczoną woalką na twarzy, stanęła, popatrzyła i zaczęła po niemiecku krzyżeć na esesmana. Ten jakby zawstydzony wstał, otrzepał się i przywołał psa do siebie. Kobieta wzięła mnie za rękę, prowadząc wypowiedziała jakby do siebie po polsku „Wstyd ażeby oficer niemiecki tak się poniżał.” W chwili kiedy zbliżaliśmy się do dworca, kobieta

poradziła mi ażebym nie wychodził z poczekalni i poszła dalej. Po tej przygodzie odechciało mi się wycieczki po Warszawie.

Zagadką pozostała mi ta kobieta, na pewno była Niemką znaną temu esesmanowi, ale dlaczego ulitowała się nad polskim dzieckiem, przecież to takie nietypowe dla Niemców. I tak już z trzeciej śmiertelnej opresji wyszedłem cało. Do odjazdu pociągu nawet przestałem wyglądać przez szparę drzwiową. Na krótko przed odjazdem pociągu przyszedł po mnie znajomy staruszek i zaprowadził mnie na peron, z którego miał odjechać pociąg do Lublina. Do pociągu tego rzuciły się tłumy ludzi z walizkami i tobołkami. Powstało zamieszanie, niektórzy wsiadali oknami, a w drzwiach powstały olbrzymie korki. Zakłopotany staruszek zaprowadził mnie do konduktora pociągu i odbyli obaj krótką rozmowę. Konduktor z kolei zaprowadził mnie do maszynisty pociągu mówiąc do niego – „Masz pasażera”. Maszynista odpowiedział, „Co znowu? Ty chyba chcesz, żeby mnie zabrali do Oświęcimia”, ale konduktor nalegał i powiedział „Spójrz no tutaj”. Z parowozu wyjrzał mężczyzna w wieku około 50 lat wąsaty i spojrzał na mnie. Następnie rozejrzał się uważnie i powiedział do konduktora – „No to dawaj go tu”. Konduktor chwycił mnie i podał maszyniście, w ten sposób znalazłem się w upragnionym pociągu.

W parowozie bardzo mi się podobało, maszynista uśmiechał się do mnie, a obok niego stał młody chłopiec, który co pewien czas wrzucał węgiel do pieca. Chłopiec ten szczególnie przypadł mi do gustu, był niskiego wzrostu, krępy blondynek, o kędzierzawych włosach, który uśmiechając się robił do mnie perskie oko. Maszynista kazał mi przejść dalej na węgiel, bo lichy nie śpi. Usłuchałem go i schowałem się tak ażeby mnie nie było widać. W pewnej chwili pociąg ruszył, podczas jazdy wypytywano mnie dokąd jadę i kim jestem, a byłem dla nich niebezpiecznym pasażerem. Zapytano mnie czy jestem głodny, odpowiedziałem uradowany, że nie, maszynista spojrzał na moją wychudzoną twarz i zapytał „A kiedy ty jadłeś?” Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że dwa dni temu. Zdziwienie malowało się na twarzach ich obu, maszynista wyjął z torby pokąsną kromkę chleba i połowę jej dał mi, a pomocnik wyjął termos z herbatą zachęcając mnie do picia. Poczulem się wśród swoich, a pociąg przystawał i znowu ruszał w dalszą drogę. Radość moja nie trwała zbyt długo, ponieważ maszynista oznajmił mi, że jak się zatrzymamy to będę musiał przesiąść do wagonu dodając, że dalej bywają kontrole w parowozach. Pociąg zatrzymał się, wysadzono mnie z parowozu, a chłopiec pomachał ręką na pożegnanie.

Wsiadłem do jednego z wagonów, w którym było mało ludzi, a następnie wszedłem do przedziału i usiadłem przy oknie. Na tej samej ławce przy drzwiach siedziała młoda, bardzo ładna dziewczyna, miała blond włosy, ładnie ubrana, w wieku około 25 lat. Po przeciwnej jej stronie siedziały trzy kobiety w sile wieku, tęgiej budowy, rozmawiając ze sobą jadły kielbasę z chlebem. W pewnym momencie jedna z nich przyjrzała mi się uważnie i z oburzeniem powiedziała „Wynoś

się stąd brudacie na korytarz, bo po tobie baranki łożą.” Wszedłem więc na korytarz, stanąłem przy oknie i dobrze mi się tam jechało.

Okazało się niebawem, że maszynista miał rację, na początku korytarza pojawiło się dwóch żandarmów z psem. Ujrawszy to z powrotem cofnąłem się do przedziału krzycząc, że Niemcy! Jedna z kobiet wyrzwała i cofnęła się mówiąc do swoich towarzyszek „rewizja!” W przedziale zapanowała panika, kobiety zaczęły przez okno wyrzucać swoje walizki, a następnie usiadły przerażone. Ja natomiast próbowałem szukać sobie miejsca pod ławką, ale nic mi z tego nie wychodziło, ponieważ tam był ulokowany kaloryfer. Dziewczyna widząc to powiedziała do mnie spokojnym, głosem „Nie bój się, a jak cię Niemcy zapytają kim jesteś to powiedz, że jesteś ze mną.” Następnie kazała mi usiąść obok siebie, dała kawałek jakiejś bułki uspokajając mnie.

Wreszcie otworzyły się drzwi przedziału, Niemiec głośno powiedział „auswais!” Kobiety pokazały dokumenty, a Niemcy zaś na nie pokrzykiwali. Dziewczyna już wcześniej wyjęła z torebki swój dokument i z uśmiechem podała go Niemcowi, ten po sprawdzeniu dokumentu skinął na mnie, a ona obojętnie coś mu po niemiecku powiedziała. Z rozmowy tej zrozumiałem jedno słowo „folgzdoycz”. Niemcy zaszalutowali dziewczynie i poszli dalej, blade przekupki siedziały, a dziewczyna zaczęła mówić: „I wy jesteście Polki, na pewno też macie dzieci, ale sumienia to wy nie macie, ażeby takie małe dziecko wypędzać z przedziału, żadna z was nie zapytała dlaczego on tak wygląda!” Jedna z przekupek próbowała coś mówić na usprawiedliwienie, a dziewczyna podniesionym głosem powiedziała „Jeszcze słowo, a każę was zabrać do obozu.” Słowa te wywarły na nich odpowiednie wrażenie i przekupki umilkły.

Dojeżdżaliśmy już do stacji Dęblin, dziewczyna oznajmiła mi, że musi tu wysiąść, radząc ażebym zwrócił się o pomoc do konduktora, bo on jest Polakiem. Wsiadając rozejrzała się uważnie i powiedziała do mnie, że przy stacji znowu są żandarmi. Ja na to odpowiedziałem naiwnie „Przecież pani się Niemców nie boi”, a ona odpowiedziała, że lepiej omijać ich z daleka i poszła w przeciwną stronę oddalając się od stacji. W chwili kiedy pociąg ruszył odszukałem znajomego konduktora, który wsadził mnie na parowóz w Warszawie. Konduktor poznał mnie i powiedział „Teraz to już bezpiecznie dojedziesz do Lublina.” Porozmawiał ze mną, dowiedział się kim jestem i dokąd jadę, następnie zabrał mnie do swojego służbowego przedziału, bo bardzo rzucałem się w oczy. Tam znowu dostałem coś do jedzenia i dojechałem do Lublina.

W Lublinie konduktor porozumiał się z innym konduktorem i obaj przyszedli do mnie. Znajomy konduktor powiedział „Teraz dziecko pojedziesz z tym panem, a on cię dowiezie już na miejsce.” Pożegnałem się z nim i poszedłem z nowym opiekunem, ten od razu zaprowadził mnie do służbowego przedziału, zasłonił okno i drzwi i polecił cicho siedzieć. Po chwili pociąg ruszył,

a podróż ta dla mnie była już całkiem przyjemna, nie taka jak poprzednio. Podczas jazdy konduktor wypytywał mnie o wszystkie szczegóły, dowiedziawszy się kim jestem po chwili zastanowienia wyrzekł „Ale jak ty zajdziesz do tego Grabowca. Od stacji będzie jakieś 12 lub 15 km., a pociąg przyjeżdża tam późnym popołudniem.”

Jakby na pocieszenie konduktora odpowiedziałem, że trafię bo tą drogą jechałem do obozu, dodając że nocy i lasu to ja się już nie boję. Mężczyzna posłuchał moich wywodów pokiwał głową i odrzekł „Jaka ta wojna jest okropna.” Czas upływał, a pociąg jechał dalej, minęliśmy już znaną mi z transportu stację Rejowiec i po dłuższej jeździe dojechaliśmy do stacji Zawada. Konduktor oznajmił mi, że teraz dojedziemy do Zamościa. Słyszac te słowa zaniepokoiłem się i odrzekłem „A jak mnie tam Niemcy złapią, to co będzie?” „Nie bój się chłopcze” odpowiedział konduktor „Siedź cicho w przedziale i nie wyglądaj przez okno, bo na stacji czasem są Niemcy.” Pociąg dojeżdżał już do Zamościa, konduktor wyjrzał przez okno mówiąc do mnie, że na stacji stoi kilku żandarmów i grupa ludzi. Po dziesięcio lub piętnastominutowym postoju pociąg rozpoczął jazdę ku mojemu zadowoleniu. Po chwili konduktor oznajmił mi, że teraz będzie stacja Miączyn i tu wysiądę. W ten sposób zbliżałem się do kresu mojej tułaczki, ale przede mną były jeszcze inne dni i miesiące najeżone niebezpieczeństwami, o których wspomnę później.

W chwili zatrzymania się pociągu zobaczyłem, że w poczekalni i obok niej znajduje się dużo Niemców z plecakami, hełmami, kocami zrolowanymi wokół pleców, a nie opodal stoi broń ustawiona w kozły. Niemcy ci zabawiali się jak małe dzieci, wyszarpywali sobie jakiś kij, to znowu rzucali nim odmierzając odległość krokami i śmiejąc się głośno. Konduktor zauważył strach na mojej twarzy i uspokoił mnie mówiąc, że ci Niemcy nie są dla mnie groźni, ponieważ jadą oni na front, a ludziom krzywdy nie robią. Po wyjściu z pociągu musiałem przejść obok stacji, jeden z rozbawionych Niemców podszedł do mnie, nałożył mi hełm na głowę i coś zaczął do mnie mówić po niemiecku. Widocznie zauważył, że się go boję, zabrał hełm, wyjął z kieszeni cukierek i wręczył mi, a sam odszedł. Po dwu lub trzech godzinach podróży dotarłem do rodzinnego Grabowca. Pierwszym odruchem było zobaczenie rodzinnego domu, z którym związane były moje wspomnienia. W domu świeciło się światło, ktoś rozmawiał, ale nie byłem pewien jak przywitają mnie moi lokatorzy. Po chwili zastanowienia się postanowiłem pójść do sąsiada, który podpisał folkslistę i pozostał na miejscu.

Byli moi sąsiedzi powitali mnie z mieszanymi uczuciami, zdziwili się że wróciłem, ciekawiło ich jak było w lagrach i gdzie byłem wywieziony. Następnie kazano mi rozebrać się, wymyli mnie w tzw. balii, była to drewniana jakby wanna, a ubranie zdezynfekowano w ten sposób, że do gorącego chlebowego pieca włożono moje ubranie. Tego rodzaju dezynfekcja dała pożądaną rezultat, ponieważ wszy popękały na skutek podwyższonej temperatury i dały się wytrześć

z ubrania. Uprzednio ostrzyżono mi włosy na zero, we włosach były roje wszy, a na skórze powygrzane rany. Po tych zabiegach czułem się wspaniale, ale moja radość nie trwała zbyt długo, ponieważ oświadczone mi, że u nich nie będę mógł pozostać, bo tu już panuje nowy porządek, Ukraińcy zakładają tzw. „Samostyjnuje Ukroinu” tzn. samodzielne państwo ukraińskie i nie ma tu już miejsca dla Polaków.

Na drugi dzień postanowiłem odwiedzić swój dom, w którym mieszkali nowi lokatorzy, zapukałem i usłyszałem w języku ukraińskim wejść, byli to Ukraińcy powysiedlani z innych wsi, a na ich miejsce zasiedlano tzw. czarnych. Czarni była to ludność z okupowanych krajów Europy jak Rumunia, Jugosławia i innych krajów. Zapisali się oni na folksdojczów, w zamian za to dostali na Zamojszczyźnie gospodarstwa po wysiedlonej ludności polskiej. W dowód wdzięczności zobowiązali się służyć Hitlerowi łącznie z pójściem na front. Czarnymi nazywano ich dlatego ponieważ poubierani oni byli w czarne mundury. Mężczyzna siedzący przy stole zapytał mnie czego sobie życzę po ukraińsku, odpowiedziałem mu po polsku, że przyszedłem zobaczyć swój dom, bo tu mieszkalem do momentu wysiedlenia. Trzeba wyjaśnić, że żyjąc razem Polacy i Ukraińcy nawzajem znaliśmy swoje języki, będąc dzieckiem słyszałem często jak nasi sąsiedzi Ukraińcy rozmawiali i nauczyłem się ich rozumieć, ale nie umiałem mówić po ukraińsku. Nowi gospodarze przyjęli mnie gościnnie jako syna byłego gospodarza, dali jeść i spytali może czegoś potrzebuję. Z rozmowy ich zrozumiałem, że nie są oni zadowoleni z tej zamiany, ponieważ dużo na tym stracili.

Po opuszczeniu swojego domu z powrotem poszedłem do wspomnianych folksdojczów i tam dowiedziałem się, że muszę się schować a następnie uciekać, bo zaraz przyjdzie po mnie ukraińska policja. Wybiegłem zza ściany domu, zobaczyłem tych policjantów, jeden z nich to znajomy sąsiad, który mieszkał obok nas, a drugi również znajomy tylko trochę dalszy sąsiad. Zobaczywszy ich pobiegłem do obory i tam ukryłem się pod żłobem, z którego jadły krowy. Na podwórzu usłyszałem głosy policjantów jak wypytywali gospodarzy o mnie. Odpowiedziano im, że owszem byłem, ale na ich widok gdzieś uciekłem, a oni oznajmili gospodarzowi, że będą tu musieli przeprowadzić rewizję. Zaczęto przeszukiwać dom, następnie stodołę i zajrzeli do obory, popatrzyli w żłoby, ale nie przyszło im do głowy, że mogę być ukryty pod żłobem, przykryty słomą. Odchodząc powiedzieli gospodarzowi, że jak wrócę to ma on obowiązek przyprowadzić mnie na posterunek. Oznajmiając mu, że tu już nie jest Polska i żadnych Polaków im nie trzeba, a moje miejsce jest w lagrach w Zamościu.

Zbliżał się wieczór, postanowiłem pójść na inną wieś o nazwie Hajowniki oddaloną o siedem kilometrów od Grabowca. Tam mieszkała moja ciotka z babką i dwoma swoimi synami. Oni również byli wysiedleni ze swoich gospodarstw do majątku gdzie pracowali jako robotnicy

folwarczni.

Nie ma gorszych diabłów od was

Po dotarciu do Hajownik spostrzegłem łopoczące na masztach niemieckie flagi ze swastykami oraz kręcących się po wsi czarnych. Przed wysiedleniem Grabowca bywałem kilkakrotnie z matką u ciotki w Hajownikach to też trafienie tam nie nastęczało mi żadnych trudności. Przyszedłem do czworaków folwarcznych późnym wieczorem, zaskoczenie ciotki i współmieszkańców było ogromne, ponieważ przez wieś nikt nie mógł spokojnie przejść. Właścicielem tego majątku był Polak, którego obowiązkiem było informowanie Niemców kto przybył do majątku i skąd. Trzeba nadmienić, że dziedzic ten ryzykując dopomagał ludziom ukrywającym się, dopisywał ich do rodzin zwiększając liczbę ich członków. To samo zrobiono ze mną, napisano że ciotka zamiast dwóch synów ma ich trzech. I w taki sposób przestałem być bezpańskim włóczęgą.

Warunki bytowe w czworakach były bardzo ciężkie, przede wszystkim uwidaczniała się ciasnota. W izbie zamieszkiwały cztery rodziny o łącznej liczbie 16 osób. Sąsiedzi żartobliwie nazywali nasze mieszkanie „przytułkiem”, ponieważ oprócz mnie znalazła tam jeszcze schronienie kobieta z dwojgiem dzieci. Tylko jedna kobieta z czterech miała aktualnie męża, a pozostałe były wdowami, mężowie ich zabrani byli przez Niemców do obozów koncentracyjnych takich jak Majdanek i Oświęcim. Po wojnie tylko jeden z nich powrócił okaleczony przez Niemców. We wspomnianych czworakach panował głód, najgorsze były miesiące przed nowymi zbiorami. Dziedzic tego majątku prawie wszystko zboże musiał oddać Niemcom, a dla ludzi tam pracujących niewiele już pozostało.

Praca była ciężka, wszystko wykonywano za pomocą mięśni ludzkich i trwała od godziny siódmej aż do zachodu słońca. Do pracy chodziła ciotka ze swoim siedemnastoletnim synem, babka zaś była już w podeszłym wieku i do pracy nie nadawała się. Młodszy syn ciotki starszy był ode mnie o rok i my obaj również nie pracowaliśmy. Wynagrodzenie za pracę wypłacano w naturze w zależności od tego ilu członków rodziny pracowało. Wiosną 1943 r. terror niemiecki na tych terenach sięgnął zenitu. Czarni byli u nas częstymi gośćmi, grozili, że jesteśmy Polakami a zarazem i bandytami, podkreślając przy tym, że niebawem rozprawią się z nami.

W tym okresie na innych terenach Lubelszczyzny rozpoczęły swoją działalność oddziały partyzanckie, sławiąc się zwycięskimi bitwami. Czarni uzbrojeni penetrowali całą okolicę. Dochodziły nas słuchy, że w polu zabili jakiegoś mężczyznę, to znowu jakąś kobietę. Podczas nachodzenia nas pokrzykiwali, że za zabicie 10 Polaków czekają ich wysokie nagrody wyznaczone przez samego Hitlera. Czworaki nasze zlokalizowane były w pobliżu dość wysokiej góry zwanej

Borowiną. Góra ta była obiektem zabaw młodzieży czarnych przynależącej do organizacji „Hitlerjugen”. Ubrani oni byli w mundurki ze swastykami na rękawach i wrogo byli nastawieni do Polaków.

W czworakach znajdowała się również pokaźna grupa dzieci, mieliśmy nakazane przez starszych, że nie wolno nam zaczepiać dzieci czarnych, bo to groziło śmiercią. Pewnego dnia, zimą czterdziestego trzeciego na czterdziesty czwarty, roz hulana młodzież Hitlera zaczęła nam ubliżać, że jesteśmy tchórzami itp. Jeden z moich starszych kolegów zaczął wyjaśniać przywódcy dzieci czarnych, że tchórzami to my nie jesteśmy dając mu na przykład, że gdybym ja ciebie zbił to ty byś poskarżył się swemu ojcu, a on z kolei zastrzeliłby mojego ojca. Ten dał hitlerowskie słowo honoru, że na skargę nikt nie pójdzie zachęcając nas do pojedynku na śniegu. Na rezultat nie trzeba było długo czekać, zwarły się ze sobą dwie grupy dzieci, po jednej stronie butne hitlersynki, a po drugiej obdartusy, którzy zawsze byli przez nich poniżani. Bito się na śnieżki, aż wreszcie pojedynek osiągnął swoje apogeum.

Kolega, o którym wspomniałem wcześniej przewrócił tego który zachęcał do pojedynku, zaczął nacierać mu twarz śniegiem, a później przeszło to w normalną bijatykę. Ja sam dorwałem w moim wieku pewnego „Adolfika”, urwałem mu daszek od czapki, dostałem parę klapsów po twarzy i potężnego kopniaka. Zwycięstwo odnieśliśmy my, ale kilku zapłakanych chłopców rzeczywiście skierowało się do wsi na skargę, a my przypomnieliśmy przywódcy ich grupy o danym nam słowie honoru. Ten zawrócił ich i stwierdził, że jego grupa to gówniarze i tylko wstyd mu przynoszą. Natomiast przywódca naszej grupy starał się go uspokoić, powiedział mu, że on dobry był w walce „Patrz, oberwałeś mi wszystkie guziki od marynarki”, chociaż miał przed bijatyką tylko jednego guzika. Po rozstaniu obawialiśmy się następstw tego tryumfu, ale na szczęście przeszło to bez echa.

W czworakach panował głód i choroby, mąż kobiety o której wspomniałem zachorował na gruźlicę i po pewnym czasie zmarł. Rok 1943 był korzystny dla rolnictwa, obrodziło zboże, ziemniaki i warzywa. Dziedzic widząc, że ludzie w jego majątku są wycieńczeni i głodni znalazł pewne rozwiązanie, za Borowiną był urodzajny kawałek ziemi o dużej powierzchni. Zarządził więc ażeby każdej z rodzin przydzielić działkę pod uprawę ziemniaków. Decyzja ta była bardzo pożyteczna dla ludzi. Przy każdej niemal okazji zwracał się on do ludzi nazywając ich „gospodarze”, a nie np. służbą, był to pewien rodzaj współczucia dla wypędzanych gospodarzy. Często mawiał „Pracujcie gospodarze tak dobrze jak na swoim, bo jak ja będę mieć to i wam zginąć nie dam.” Po rozpoznaniu sytuacji ogłosił, że kto nie ma chleba, niech się zgłosi do niego to otrzyma trochę zboża, bez względu na to czy zarobił czy nie. Zgłosiła się więc ciotka ze swoimi współmieszkankami i otrzymały po pół worka jęczmienia. Chleb jęczmienny był niezbyt smaczny, rozsypywał się w ustach, ale to już jednak był chleb.

Czarni z Hajownik i sąsiedniej wsi Czeszyn często jeździli do Skierbieszowa, tam od swoich mocodawców Niemców otrzymywali wódkę, kielbasę i inne produkty żywnościowe. Przejeżdżając obok czworaków strzelali na wiwat, czasem bili ludzi odgrazając się, że niebawem nas wystrzelają. Czas upływał, czasami jakby trochę spuścili na tonie, ponieważ coraz częściej słyszało się o sukcesach partyzantów. W drodze wyjaśnienia chcę wspomnieć, że ci czarni mówili językiem podobnym do rosyjskiego, co było dla nas zrozumiałe. Pewien młody czarny imieniem Adolf zaczął wyłamywać się ze swojej społeczności, przychodził często do czworaków do pewnej przystojnej dziewczyny. Tylko on jeden na nikogo nie krzyczał, a o ziomkach swoich wyrażał się, że to są idioci. Czarni z tej znajomości byli bardzo niezadowoleni, udzielili mu nagany oraz zdjęli go za karę ze stanowiska sołtysa i zabronili mu chodzić do tych polskich „bandytów”. Czarny wyraźnie lekceważył te zakazy, zamiast na koniu patrolować okolicę, to przychodził do Zośki, czasem przynosił ze sobą akordeon, ponieważ był niezłym muzykiem, głos również miał niezły i czasem śpiewał.

Po pewnym czasie odezwali się moi rodzice, napisali, że są wywiezieni do Berlina i tam pracują w fabryce zbrojeniowej, oraz dowiedzieliśmy się, że alianci bombardują Berlin. Babka dowiedziawszy się o tym, zaniepokoiła się o mój los, obawiała się, że zostanę sierotą. Dotknięta ona była wieloma nieszczęściami, dziadka Niemcy rozstrzelali na skutek fałszywych donosów spreparowanych przez pewnego Ukraińca, syna zabrali jej na roboty do Niemiec i córka, czyli moja matka też jest w Niemczech. Roztoczyła więc babka nade mną serdeczną opiekę w miarę swoich możliwości. Czułości takiej jako dziecko w owym czasie bardzo potrzebowałem, ponieważ przeżyłem już gehennę obozu i wspomnianej wcześniej tułaczki.

W majątku tym było kilkoro młodych ludzi, postanowili oni w jednej mniej zaludnionej izbie urządzić sobie przed Wielkanocą tzw. ostatki. W tym okresie już nam się trochę lepiej powodziło, od pana ktoś dostał trochę wódki i słoniny, chleb już mieliśmy. Nigdy na takich ostatkach nie byłem, ciekawość mnie nęciła, a poza tym liczyłem na umoczenie kawałka chleba w tłuszczu. Wśród dorosłych było nas kilkoro dzieci, nie pomyliłem się, starsi jedząc i pijąc wspominali dobre czasy, a dzieciom kazano pojeść chleba z tłuszczem. Rozmowa rozkręciła się już na dobre, w pewnej chwili ktoś w sieni jakby zaczął macać po drzwiach.

Pewien mężczyzna siedzący przy drzwiach otworzył je, a ponieważ był już trochę podпиты powiedział wychylając się do sieni „A kogoż tam diabli noszą po nocy.” Po wypowiedzeniu tych słów jakby oniemiał z wrażenia, począł cofać głowę z powrotem, a w ślad za jego głową wynurzyło się z ciemności kilka luf karabinowych. We drzwiach stanęli jacyś mężczyźni mówiąc „Ręce do góry”. Wszyscy ponieśli ręce, a Adolf siedzący naprzeciwko pod ścianą zzieleniał ze strachu. Zapytano nas cośmy za jedni, a gospodyni odpowiedziała, że my jesteśmy panie Polacy, a wy kto?

A my polscy partyzanci. Ktoś z nich powiedział „Opuście już te ręce skoro jesteście Polakami”. Jeden z partyzantów skierował lufę w stronę Adolfa i zapytał, „A co tu robi ta czarna wrona?” Zaczął tłumaczyć, że to nieszkodliwy czarny, a partyzant na to „No to ja go zaraz unieszkodliwię”, kładąc mu wychodzić. Wszyscy obecni zaczęli prosić, że jak go zabiją to jutro nas za niego wszystkich wystrzelają razem z dziećmi.

Prośba ta poskutkowała, zabrano mu karabin, dostał po pysku na pamiątkę spotkania się z polskimi partyzantami i pozostawiono go w spokoju. Na zewnątrz słychać było strzały z pistoletów maszynowych. W pewnym momencie usłyszeliśmy jakiś wybuch na wsi i powstał pożar. Z każdą chwilą robiło się coraz goręcej, dzieci chciały iść do swoich domów, ja również. Kilkoro z nas mieszkało po drugiej stronie czworaków, dowódca grupy rozkazał jednemu z partyzantów odprowadzić nas do domu. Wyszliśmy na zewnątrz, popatrzyłem na tego partyzanta i zapytałem go „Pan taki stary i jest w partyzantce”, a on na to „Teraz synu każdy uczciwy Polak powinien być w partyzantce”. Po wejściu do izby babka odetchnęła z ulgą, że nic mi się nie stało, a ja zadowolony opowiedziałem, jak partyzanci przyszedli na ostatki. Nieopodal naszego domu strzelał krótkimi seriami karabin maszynowy, z Borowiny też słychać było strzały oraz od strony sadu dworskiego.

Tej nocy partyzanci rozbijali czarnych, a na ich ogień również odpowiadali ogniem. Wybuch, o którym wspomniałem spowodował pożar, ponieważ pewien czarny wezwany do oddania broni zaczął strzelać i rzucił przez okno granat zaczepny o opóźnionym zapłonie, który wpadł w ręce partyzanta. Dzięki przytomności umysłu partyzant granat ten odrzucił z powrotem do mieszkania i tam nastąpił wybuch, a dom stanął w płomieniach. Wspomniany czarny zdążył jeszcze się schować do bunkra wcześniej przygotowanego, inni czarni oddawali broń. Tym z kolei nakazywano opuszczenie tych terenów, bo na następny raz czeka ich kara śmierci. We wsi Hajowniki z miejscowej ludności tylko dwóch podpisało folkslistę i pozostało na miejscu. Jednego z nich przezywano „Mucha”, przydomek ten przyłgnął do niego jeszcze przed wojną od nazwiska grasującego w okolicy bandyty i złodzieja, ponieważ i on w złodziejskim fachu nie gardził. Wspomniany „Mucha” też był umundurowany na czarno i wyróżniał się szczególnym okrucieństwem w stosunku do Polaków.

Tej nocy partyzanci zawitali również i do niego, z partyzantami był ktoś kto dobrze znał „Muchę”. Po wejściu do mieszkania i odsunięciu szafy znaleziono właz do schronu. Nadmienić tu trzeba, że schrony te były bardzo pomysłowe, były to głęboko kopane kręte rowy na jakieś 1,5m głębokie wychodzące poza zabudowania z kilkoma wyjściami np. do dołu z ziemniakami, studni lub ustępu. Z wierzchu rowy były szczelnie przykryte deskami i przysypane ziemią. Od wewnątrz schron wyposażony był w kilkoro drzwi, które chronić miały przed dostaniem się dymu na

wypadek pożaru. Noc ta dla wspomnianego „Muchy” była koszmarna, ponieważ jeden z partyzantów usiadłszy nad włączem zaczął wołać „No wyłaż Mucha i oddaj broń ty hitlerowski tchórz.” Takie grzeczności nic nie dawały, partyzant usłyszał w odpowiedzi „Broni nie oddam”, a partyzant „To będę cię musiał zbójcu wykurzyć z tej nory wiązką granatów.” Argument ten poskutkował, usłyszano damski głos „Panowie nie strzelajcie.” Wyszła przestraszona kobieta wynosząc karabin „Muchy”. Była to Polka która jako służąca pracowała u niego. Zresztą wszyscy czarni mieli parobków i służące Polaków, którzy ciężko pracowali i nie szczędzono im bicia.

Rano czarni byli bardzo przestraszeni, bo ich mocodawcy ze Skierbieszowa i Zamościa za oddanie broni wcale ich nie pochwalili. „Mucha” natomiast przez parę dni chodził ze swoim zbójcekim karabinem, który przechowywał od przedwojny. Lufa była częściowo zardzewiała, a kolba wzmocniana jakimis blaszkami. Za parę dni usłyszeliśmy we wsi Czeszyn oddalanej o 3 km od Hajownik odgłosy rozrywających się granatów i liczne strzały z broni maszynowej, w górę poszły rakiety, a we wsi wybuchły pożary. Czarni w Czeszynie nie chcieli oddać broni i wywiązała się walka. Partyzanci tam odnieśli całkowite zwycięstwo, poległo ponad 40 czarnych, po stronie partyzantów strat nie było.

W dniu następnym widziałem jak do Czeszyna około południa wieziono dużo trumien, a po kilku godzinach zabitych odwożono do Skierbieszowa na cmentarz. Dla wszystkich zabitych nie starczyło trumien, więc wieziono ich na wozach wyścielonych słomą. Następnego dnia przed wieczorem od strony Skierbieszowa do Czeszyna pojechała duża grupa żandarmerii niemieckiej i policji. Wszyscy oni byli uzbrojeni w broń maszynową i obwieszani granatami. Widząc to pomyślałem sobie, ażeby chociaż tej nocy partyzanci nie atakowali, bo może ich dużo zginąć ale myliłem się. Niemcy ci byli dokładnie obserwowani, partyzanci znali ich liczbę i rodzaj uzbrojenia. Wieczorem, około godziny dwudziestej pierwszej usłyszeliśmy potężną detonację i odgłosy zażartej strzelaniny, atakowano Czeszyn. Wieś ta była otoczona z dwóch stron wzniesieniami, a od wsi Walica rozciągały się łąki, które od wsi Czeszyn oddzielała wąska ale głęboka rzeczka. Partyzanci zaatakowali Niemców z dwóch stron. Jedna grupa od strony rzeki, która ściągnęła na siebie ogień, a inna grupa od wzgórza zaatakowała z boku. Następnie walka przeniosła się do wsi, podczas wspomnianej detonacji na moście zginęło trzech partyzantów, ponieważ most był zaminowany. O walkach Czeszynie opowiadał mi po wojnie jeden z byłych partyzantów, który brał udział w tych walkach. Rano dowiedzieliśmy się, że i tej nocy zginęło około trzydziestu Niemców. Po wyzwoleniu brałem udział w pogrzebie tych partyzantów, zwłoki ich ekshumowano i pochowano oddzielnie z honorami wojskowymi na wielkim cmentarzu przy wsi Walica. Oddział o którym piszę był oddziałem Gwardii Ludowej pod dowództwem „Przepiórki”. W tym okresie ruch oporu na Zamojszczyźnie, jak również i w innych powiatach Lubelszczyzny przerodził się w siłę. Wszędzie

bito znieawidzonego okupanta i jego sługusów. Powstały różne ugrupowania polityczne, jak Bataliony Chłopskie, Armia Krajowa i Gwardia Ludowa, na ich terenach walczyły również oddziały partyzantki radzieckiej. Staczano wiele bitew, jak bitwa o Porytowe Wzgórze, bitwa pod Zaborecznem, Różą i Wojdą.

W Grabowcu partyzanci Armii Krajowej skutecznie walczyli z nacjonalistami ukraińskimi i Niemcami. Walka rozgorzała wszędzie, bo nie było innej alternatywy. Na skutek ciągłych ataków partyzantów w 1944r. na wiosnę, czarni oraz cała administracja niemiecka opuścili Hajowniki, Czeszyn, Skierbieszów i inne miejscowości. Zapanowało tzw. bezkrólewie, każdy z czworaków dworskich powracał na swoje gospodarstwo. Czarni nie zabrali ze sobą ziemniaków, buraków i zboża. Głodu nie obawialiśmy się. Powrócili też ludzie ukrywający się na innych wysiedlonych wsiach. W stosunkowo krótkim czasie wieś zaludniła się prawowitymi gospodarzami, my również powróciliśmy na gospodarstwo ciotki. Radość była ogromna, że nie ma czarnych i że do przyjscia Rosjan może już Niemcy i czarni nie powrócą. W mieszkaniu ciotki czarni urządzili sobie zlewnię mleka, gdzie codziennie spotykali się, w związku z tym na ścianie powiesili ogromny portret Hitlera. Uciekając portretu tego nie zabrali, starszy syn ciotki postanowił portret ten wyrzucić. Po namyśle doszliśmy do wniosku, a co będzie jak czarni powrócą, więc zdecydowaliśmy, że w dzień portret będzie wisieć na ścianie, a w nocy będzie wisieć w ustępie, bo tam jest jego właśnie miejsce. I tak co rano portret powracał do mieszkania, a co wieczór do ustępu.

Radość nasza nie trwała zbyt długo, do wsi przyjechali Niemcy, zaczęli przeprowadzać rewizje i wypytywać gdzie ukrywają się partyzanci. Kto wcześniej spostrzegł, że jadą samochody niemieckie to umknął do lasu. Tego dnia Niemcy zastali mnie z babką w domu, najpierw usłyszeliśmy krzyki po niemiecku i zaraz wpadło do nas dwóch Niemców. Zaczęli przeprowadzać rewizję w całym obejściu, jeden z nich miał czarną przepaskę na oku i ten przemówił do babki po polsku pytając „Gdzie ukrywacie bandytów?” Babka odpowiedziała mu, że są w lesie i my ich nie ukrywamy. Ale do lasu wcale im się nie spieszyło, ponieważ lasu bali się jak przysłowiowego ognia. Zaczęli więc obaj krzyczeć, że my jesteśmy też bandytami i będziemy rozstrzelani.

Babka uklękła pod obrazem Matki Boskiej i głośno powiedziała „O Boże, a cośmy im winni?” Niemiec z przepaską na oku uśmiechnął się i powiedział „Ty stara, lepiej proś jego o przebaczenie” wskazując na portret Hitlera. Babka wstała, mówiąc do Niemców „Panowie, przecież jesteście dorosłymi i mądrymi mężczyznami, powiedzcież czy ja stara z obolałymi nogami albo to dziecko możemy być bandytami? Jak byście mieli takich bandytów to nie musielibyście nosić tego” wskazała na karabin „Pozabijalibyście ich kijami.” Niemiec uśmiechając się odrzekł „No dobra, ale jak na wsi znajdziemy chociaż jedną łuskę karabinową to was rozstrzelamy, a wieś spalimy. Babka zaczęła mu logicznie tłumaczyć, że sami przecież strzelacie i tego wszędzie leży dużo. Ten

odpowiedział „Przebiegła jesteś stara, ale my swoje łuski poznamy.”

W tym dniu Niemcy w całej wsi strzelali, chyba dla dodania sobie odwagi, ale oprócz hałasu nic nam nie zrobili. Upłynęło parę dni, przez Zamojszczyznę przewaliła się karna ekspedycja „SS”, przyjechały czołgi, samochody opancerzone oraz zmotoryzowana piechota. Zaczęto palić wsie i strzelać do wszystkiego co żywe. W Hajownikach złapali grupę mężczyzn, w której znajdował się starszy syn ciotki i wszystkich wywieźli na Majdanek. Ja natomiast z kolegą tym razem ukryłem się w rzece siedząc w szuwarach. W niedalekiej odległości zatrzymał się czołg. Niemcy stwierdzili, że przez rzekę czołg nie przejedzie, więc zaczął ostrzeliwanie lasu z działa, bo i oni również lasu się bali. Po odjechaniu czołgu wyszliśmy z rzeki, poobrywaliśmy sobie pijawki z nóg i udaliśmy się do domu. W dniu następnym wszyscy powróciliśmy z powrotem do czworaków, ale i tam nie było lepiej. Karna ekspedycja kończyła już wykonywanie swojego zadania, około południa przyszedłem do domu żeby coś zjeść. W tym momencie wpadli rozszalali esesmani, kolbami wypędzali wszystkich na zewnątrz, a tam ustawiali nas pod murem. Znaleźli się tam sami starsi ludzie i dzieci, czyli ci którzy nie mogli lub nie zdążyli uciec.

Dorosłym sprawdzano dokumenty stwierdzając, że to są sami Polacy. Dwóch esesmanów w wieku około 24 lat zapalili sobie po cygarze, a po rozpromienionych twarzach widać było, że są pijani, postawili karabin maszynowy i zaczęli nam z uśmiechem tłumaczyć, że będzie bum, bum. Ludzie zaczęli się żegnać, a babka płacząc powiedziała mi „Nie bój się dziecko, Bóg tych bandytów ukarze.” Za parę minut przyjechał łącznik niemiecki na koniu i coś powiedział do pijanych kolegów, a oni chwycili karabiny i zaczęli uciekać. Z mowy tego łącznika zrozumiałem słowo „bandyten”, a więc poczuli się sami zagrożeni. I w taki sposób któryś tam raz z rzędu umknąłem śmierci. Karna ekspedycja odjechała pozostawiając po sobie krwawe zniwo, paląc wiele wsi i rozstrzelując ludność, my ochłonawszy powróciliśmy z powrotem do wsi. Nadchodziło lato 1944r., w nocy można już było usłyszeć pojękiwania ciężkich dział w oddali, zbliżał się front i coraz bardziej rosła nasza nadzieja na przetrwanie. Pewnej nocy ktoś zapukał do drzwi, był to syn ciotki który uciekł z Majdanka. W owym czasie obozu pilnowali tzw. Własowcy, codziennie pędzono ich na teren lubelskiej cukrowni, tam również byli oni pilnowani przez Własowców. Niektórzy więźniowie nowo przywiezieni posiadali przy sobie pieniądze i w jakiś sposób przekupywali strażników.

W tym dniu uciekło dwóch więźniów przekupiwszy strażników, a wśród nich znajdował się syn ciotki. Nadmieniam, że ojciec jego wcześniej był wywieziony na Majdanek i tam zginął. Ludzie z lubelskiego podziemia zaopatrzyli go w odpowiednie ubranie, żywność i nauczyli w jaki sposób może dostać się do domu. Szedł on wyłącznie nocą przez pola, z dala od głównych dróg, nie kontaktował się z nikim. Nadchodził miesiąc lipiec, na głównych traktach Niemcy porozstawiali

duże tablice informacyjne, komunikujące, że będą tędy przechodzić wojska niemieckie, a kto im będzie w tym przeszkadzać to spotka go kara śmierci. W Hajownikach nikt im nie przeszkadzał, przeciwnie mówiliśmy niech idą na złamanie karku, aby więcej tu nie wracali. Następnego dnia przyjechali Niemcy, po sadach zaczęli instalować sieć łączności telefonicznej i stawiać maszt anten radiowych i rozlokowywać działa. W powietrzu pokazały się samoloty z gwiazdami, które rozrzucały ulotki informujące ludność cywilną, ażeby wywieszać białe flagi. Ludność ze swoim skromnym dobytkiem zaczęła szukać schronienia w lesie. My również przenieśliśmy się do lasu, gdzie spotkaliśmy wielu znajomych. W tym okresie mieliśmy już dwie krowy, jedną odebrałem od Ukrainca z Grabowca, a swoją ciotka znalazła, której czarni nie zabrali ze sobą. W lesie każdy szukał bezpiecznego miejsca dla siebie i zwierząt. Ulokowaliśmy się na skraju lasu w dużym dole porośniętym krzakami. Tam przebywaliśmy parę dni, chleb mieliśmy, a zamiast wody piliśmy mleko.

Pewnego dnia po południu usłyszeliśmy głosy zbliżających się Niemców, zachowywaliśmy się cicho, ażeby nas Niemcy nie zauważyli. W pewnym momencie krowa zaczęła ocierać się łbem o drzewo, szelest liści zaalarmował Niemców. Usłyszeliśmy trzask zamków pistoletów maszynowych, kilku z nich w charakterze świadków weszło do lasu i zobaczywszy ludzi cywilnych oraz zwierzęta uspokoili się. Rozkazano nam wyjść z lasu, a pod lasem stała niewielka grupa niemieckich żołnierzy. Niemcy ci zaczęli do nas coś mówić gestykulując, że idzie „Iwan” i obcina języki, zachęcając nas do ucieczki ze sobą. Babka zrozumiała o co chodzi wypowiedziała podświadomie „Tak, obcina języki? Nie ma gorszych diabłów od was.” Niemcy ci zaczęli ze zmęczenia siadać w zbożu i my również usiedliśmy. Oficer ze swoim tłumaczem zbliżył się do nas, tłumacz zaczął mówić po polsku oznajmiając nam, że jest on Polakiem ze Śląska i że na siłę wcielono go do niemieckiej armii. Niemiec ten w dalszej rozmowie wyrażał obawę o swój los, co z nim będzie jak dostanie się do niewoli rosyjskiej. Oficer w pewnym momencie zaczął wypytywać tłumacza o czym my rozmawiamy, ten z kolei spytał ciotkę co ma mu odpowiedzieć. Ciotka doradziła tłumaczowi „Niech mu pan powie, że żałuję tych młodych chłopców, którzy powinni jeszcze być przy matkach a nie na wojnie.” Tłumacz przetłumaczył to, a oficer pokiwał głową mówiąc „ja – ja.” Do dalszej rozmowy oficer nie wtrącał się, a tłumacz mówił, że są w okrążeniu i mają tylko 5 km do ucieczki, dalej to nie wiadomo co z nimi będzie.

Niemcy ci byli bardzo młodzi, około 19 do jakichś 23 lat. Dowiedzieliśmy się, że trzy noce nie spali i są bardzo głodni. Widząc krowy powiązane do drzew, zapytali się czy nie mamy mleka. Ciotka odpowiedziała, że mamy dwa wiadra mleka i możemy go im dać. Tłumacz z radością przetłumaczył dobrą wiadomość swoim kolegom. Zabawny był to widok, jak ci panowie Europy rzucili się do mleka klęcząc chleptali jak zwierzęta, krztusząc się przy tym. Oficer zaczął ich

odpędzać od wiader, kopiąc i bijąc ich po twarzach pistoletem. Wreszcie udało mu się opanować sytuację, ustawił ich w kolejkę do każdego wiadra oddzielnie. Następnie wyznaczył dwóch żołnierzy, którzy rozlewali mleko wlewając każdemu po trochu do menażki. Po wypiciu mleka niektórzy przewijali sobie obtarte nogi, niektórzy byli bez hełmów, zauważyłem, że jeden z nich obuty był tylko w jeden but, drugi trzymał w ręku. Wszystko to świadczyło o tym, że uciekali w wielkim pośpiechu.

Znając Niemców, wydali mi się oni jacyś nietypowi, za mleko dziękowali, a nawet wyjęli marki i chcieli płacić, ale ciotka przypomniała im, że podczas wojny pieniądze nie mają żadnej wartości. Oficer chcąc się odwdziżyć rozkazał przeszukać plecaki, może któryś z żołnierzy znajdzie jakiegoś dropsa dla dzieci, bo trzy dni temu otrzymali po dwa dropsy. Wszyscy skrupulatnie szukali i znaleźli tylko jednego dropsa, a oficer wręczył mi go. Po pewnej chwili Niemcy poszli dalej, a my przenieśliśmy się w głąb lasu, bo tu już było niebezpiecznie. Przez całą noc słychać było kanonadę artyleryjską, strzelały działa we wsi, w polu i przed lasem. Zajadłe strzelały karabiny maszynowe, a z drzew sypały się liście. Cała nasza rodzina razem ze zwierzętami ukryła się w głębokim dole, siedzieliśmy tam aż do rana.

Nad ranem strzelanina ustała, ktoś przybiegł ze wsi powiadamiając wszystkich ukrywających się ażeby szli do domu, bo we wsi są już Rosjanie. Wyszliśmy z lasu, a drogą jechało dużo rosyjskiego wojska. Gdzieś słychać było jak grała harmoszka i ktoś śpiewał piosenkę o „Katuszy.” Rosjanie widząc nas żartowali sobie, że z bazaru wracamy. Któryś z nich zapytał czy Hitlera nie widzieliśmy. Radość była wielka, że skończył się mrok okupacji hitlerowskiej, że przetrwaliśmy. I tak doczekałem dnia wolności, nikt już za włosy mnie nie ciągnął na rozstrzelanie, ani pejczem nie bił i nie karmił trucizną. Około południa prowadzono Niemców do niewoli, szli w dwuszeregu, ale to już nie byli ci sami co zwycięsko maszerowali w Warszawie i przez całą Polskę na wschód. Szli bez pasów, bez broni, brody mieli pozarastane ze zwieszonymi głowami. W tej żalostnej kompanii poznałem kilku Niemców oraz oficera z pod lasu. Na drugi dzień przyjechało do wsi Wojsko Polskie śpiewając:

Marsz, marsz Polonia.

Marsz dzielny Narodzie,

Odpocniemy po swej pracy w czystej zagrodzie.

Po kapitulacji Trzeciej Rzeszy rodzice moi powrócili z Berlina i znów zamieszkaliśmy razem. Zabudowania nasze w Grabowcu zostały spalone podczas działań frontowych, a mienie nasze

oprócz krowy przepadło. I tak rozpoczął się nasz nowy, trudny start życiowy, ponieważ zaczynaliśmy go od zera. W 1945r. miałem już 11 lat, ale moje przeżycia nie pozwalały mi już być dzieckiem pod względem psychicznym, wojna odcisnęła swoje piętno na mojej psychice.

KONIEC

5.II.1987 r.